

„Tajna inflacja” – uwagi o demaskowaniu problemów współczesnego systemu finansowego

Opracowanie: Instytut Misesa

Pan Michał Zieliński w swoim niedawnym artykule „Tajna inflacja” (*Wprost*, nr 27, s. 44-46) podjął się próby zdemaskowania „polskiego kłamstwa inflacyjnego”. I choć Autorowi należą się niewątpliwie wyrazy uznania za podjęcie tematu w odważny i intrygujący sposób, to jednak w tekście przewija się kilka nieścisłości, które zupełnie niepotrzebnie mogą osłabić jego przekaz i odwrócić uwagę czytelników od spraw naprawdę fundamentalnych.

Zieliński wyklada karty na stół już na samym początku, zarzucając rządzącym, że „aby nie zapłacić politycznego rachunku za inflację (...), po cichu manipulują wskaźnikami dotyczącymi inflacji.” Oskarżenie samo w sobie jest oczywiście bardzo poważne i gdyby okazało się prawdziwe, mielibyśmy do czynienia z wielkim skandalem. Problem w tym, że Zieliński nie precyzuje ani o jakich rządzących mu chodzi – czy np. także w Polsce? – ani w żaden przekonujący sposób nie uzasadnia swojej opinii. Zauważa wprawdzie, iż „NBP poinformował, że od czerwca 2008 r. będzie wyliczał inflację bazową (...) bez uwzględniania w niej cen żywności i energii” (inflacja ta w maju wyniosła 2,1 proc.), ale trudno doprawdy uznać to w jakiegokolwiek mierze za fałszerstwo. Po pierwsze, NBP podaje na podstawie danych GUS rozmaite miary inflacji bazowej – np. inflacji po wyłączeniu cen kontrolowanych albo po wyłączeniu cen żywności i napojów bezalkoholowych oraz cen paliw – konsekwentnie od stycznia 1998 r. Po drugie, trudno zgodzić się z Zielińskim, jakoby celem wprowadzenia nowej miary było odwrócenie naszej uwagi od zmian w utartym już w świadomości społecznej współczynniku cen konsumenckich (Consumer Price Index, CPI). Wszak przyjęta strategia polityki pieniężnej NBP i kryteria konwergencji z Maastricht bardzo precyzyjnie określają, z kontroli jakiego indeksu rozliczana będzie Rada Polityki Pieniężnej, i lektura protokołów z posiedzeń Rady wskazuje, że jej członkowie są tego w pełni świadomi¹. I nie chodzi bynajmniej o to, że we współczesnych „liberalnych i transparentnych demokracjach” politycy nie fałszują danych, aby oszukiwać obywateli lub siebie nawzajem – dobrym w miarę aktualnym przykładem, że nie musi tak być, jest „kreatywna księgowość” Grecji przed jej wejściem do strefy euro – lecz o to, że sformułowane przez Zielińskiego argumenty bez trudu można odeprzeć, wchodząc chociażby na stronę internetową NBP.

Kolejnym niezbyt szczęśliwym posunięciem było odwołanie się do równania Fishera w celu wyliczenia „prawdziwego” wzrostu cen w gospodarce. Sformułowane w 1911 r. równanie wymiany głosi, że iloczyn podaży pieniądza i jego szybkości obiegu jest równy (a raczej tożsamy) iloczynowi średniego poziomu cen i całkowitego wolumenu transakcji

¹ Argument, zgodnie z którym nowe miary inflacji pokazuje się w celu usprawiedliwienia pasywnej polityki NBP, mógłby w jakiejś mierze pasować do poglądów prof. Osiatyńskiego, który w cyklu artykułów opublikowanych na łamach *Gazety Wyborczej* przekonywał, że za wzrost cen odpowiedzialne są głównie czynniki poza kontrolą krajowej polityki pieniężnej i w związku z tym podnoszenie stóp procentowych w takiej sytuacji jest szkodliwe. RPP – a przynajmniej większość jej członków – zdaje się jednak uważać, że wzrost inflacji, nawet jeśli spowodowany czynnikami zewnętrznymi, może prowadzić do wzrostu oczekiwań inflacyjnych oraz tzw. efektów drugiej rundy i dlatego wskazane jest podnoszenie stóp procentowych.

gospodarczych. W badaniach empirycznych przyjęło się używać następującej wersji równania Fishera (M – podaż pieniądza, P – średni poziom cen, V – szybkość obiegu, Y – PKB):

$$M \times V = P \times Y,$$

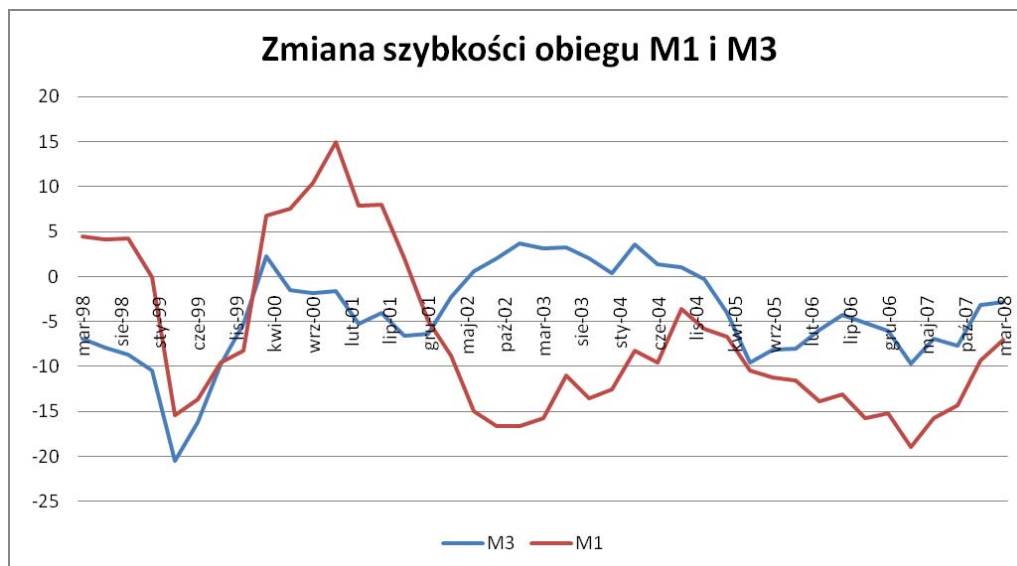
co po odpowiednich matematycznych przekształceniach pozwala otrzymać, że

$$\pi = m + v - y,$$

gdzie π jest stopą inflacji, m stopą wzrostu podaży pieniądza, v stopą wzrostu szybkości obiegu, zaś y stopą wzrostu realnego PKB. Z ostatniego równania wynika, że jeśli V jest stałe, a przynajmniej niezależne od M , wówczas można by się spodziewać, że zmiana tempa wzrostu podaży pieniądza doprowadzi do proporcjonalnej zmiany poziomu inflacji².

Zieliński odwołuje się właśnie do tego założenia, gdy stwierdza, że skoro „podaż pieniądza rośnie rocznie o 15 proc., PKB realnie wzrasta o mniej więcej 6 proc., wskaźnik inflacji podawany przez GUS (...) wynosi 3-4 proc.”, a nie jak wynikałoby z prostego rachunku 8-9 proc., to „coś tu nie gra”. I rzeczywiście: „coś” nie gra. Problem polega tylko na tym, że chyba znów nie to, na co zwraca uwagę autor. Po pierwsze, choć może się to wydać zaskakujące, banki centralne mają dziś nikle pojęcie, co tak naprawdę stanowi podaż pieniądza i jaki agregat statystyczny mógłby w badaniach empirycznych posłużyć za zmienną M . Na pierwszy rzut oka doskonałym kandydatem wydaje się na przykład gotówka – czyli banknoty i monety, za pomocą których każdy z nas dokonuje płatności. Ale przecież coraz większą popularnością cieszą się dziś także karty płatnicze i elektroniczne rachunki bankowe, umożliwiające transakcje bezgotówkowe. Zsumowanie obu powyższych agregatów nie jest jeszcze skomplikowane (to miara umownie nazywana M1). Problem w tym, że nie wyczerpują one arsenału środków, za pomocą których dokonuje się płatności w gospodarce. Po drugie, nawet gdyby przyjąć, że któryś z powszechnie wyliczanych agregatów pieniężnych (M1, M2 lub M3) faktycznie odzwierciedla prawdziwą podaż pieniądza w gospodarce, to wbrew temu, co twierdzi Zieliński, nie ma żadnych podstaw, aby sądzić, że szybkość w obiegu jest „dość stała”. Łatwość, z jaką można dziś relatywnie niewielkim kosztem zamieniać jedne instrumenty finansowe na drugie – depozyty na lokaty trzymiesięczne, lokaty trzymiesięczne na lokaty dwuletnie, a te z kolei na gotówkę – prowadzi raczej do zupełnie przeciwnych wniosków. Zresztą o niestabilności V – bez względu na to, czy mamy na myśli szybkość obiegu szerokiego czy wąskiego agregatu – najłatwiej się przekonać spoglądając na poniższy wykres. Dodatkowy problem z posługiwaniem się równaniem Fishera do analizy polityki pieniężnej polega na tym, że, paradoksalnie, im lepsze dopasowanie zmian podaży pieniądza do zmian cen, tym słabszy wpływ banku centralnego na ten konkretny agregat monetarny. W praktyce z inflacją najlepiej koreluje się M3, jednak pozostaje on właściwie poza kontrolą władz monetarnych.

² Warto nadmienić, że to właśnie równanie Fishera wraz z przekonaniem o stabilności V stanowiło trzon monetaryzmu, kojarzonego dziś przede wszystkim z osobą Milтона Friedmana, który ukuł słynne powiedzenie „inflation is always and everywhere a monetary phenomenon”.



Rys. Zmiana szybkości obiegu agregatu M1 i M3, dane kwartalne. Źródło: NBP, obliczenia własne.

Podsumowując zatem, samo tylko to, że wyliczenia z równania Fishera (w którym zresztą dla ścisłości trzeba by wziąć poprawkę na to, że ceny dziś uwzględniają impulsy polityki pieniężnej co najmniej sprzed roku, a więc porównywanie jedynie aktualnych danych o wzroście podaży pieniądza i inflacji niczego sensownego nie wykaże) nie chcą się zgodzić z rzeczywistością „wykreowaną” przez urzędy statystyczne, nie jest jeszcze wystarczająco poważnym argumentem przeciwko tej rzeczywistości. W istocie bowiem krytyka aktualnego systemu, jeśli ma być skuteczna, musi sięgać do samych jego podstaw. Nie pytajmy zatem, czy rząd fałszuje statystyki, ale dlaczego w ogóle je zbiera. Nie zastanawiajmy się nad tym, jaki agregat monetarny najlepiej opisuje zmiany inflacji, próbujmy raczej dociec, dlaczego dano bankom komercyjnym swobodę zarabiania kroci i wytwarzania ok. 80 proc. wszystkiego, co można w gospodarce nazwać podażą pieniądza, osłaniając je jednocześnie pod parasolem kredytodawcy ostatniej instancji przed wszelkimi konsekwencjami nieodpowiedzialności. Nie dociekajmy – wreszcie – czy Rada Polityki Pieniężnej podejmuje decyzje na podstawie właściwego wskaźnika inflacji; żądajmy raczej odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludziom, których nawet nie wybraliśmy i na których decyzje nie mamy żadnego, nawet najmniejszego wpływu, wolno określać w jakim tempie będą rosły ceny produktów, które codziennie kupujemy.

Stawiając takie pytania unikamy rozmów o technicznych szczegółach, na których jako „outsiderzy” będziemy zawsze z konieczności znali się gorzej niż „insiderzy”, i wyciągamy naszych dyskutantów na zupełnie inne, nowe dla nich pole, gdzie ich modele, wskaźniki i wyliczenia na niewiele im się zdadzą. Czy uda nam się zakreślić takie dogodne dla nas pole intelektualnej walki?

Bierzmy przykład z najlepszych. Jak głosiło jedno z haseł francuskiej kontrkultury '68 r.: Soyons réalistes, demandons l'impossible! Bądźmy realistami – żądajmy niemożliwego.